

O ŚLADACH ŚW. JANA SARKANDRA

ŚMIERĆ MĘCZEŃSKA W OŁOMUŃCU – 17 III 1620 R.

Postępowanie ks. Jana wobec wrogów, ukrywanie się przed nimi, pielgrzymka do Częstochowy, chęć opuszczenia stanowiska w Holeszowie, list do namiestnika Lobkowica – rzuca ważne światło na jego cnotę. Może się komuś wydaje, że jest w tym wszystkim zbyt bojaźliwym o własne życie, mienie i przyszłość. Późniejsze męczeństwo Jana jest najlepszym dowodem, że tak nie jest; ale jest w cnotcie Jana coś, co właśnie jest cechą cnoty doskonałej, jest roztropność, która polega na tym, że wszystko co robimy, robimy z rozważą i nawet cnotę stosujemy do potrzeby danej chwili i danych warunków. (...) Nie dość być gorliwym aż do gotowości na męczeństwo, trzeba mieć oczy otwarte i patrzeć czy ta gorliwość w tej chwili przyniesie pożytek, czy tylko szkodę. Cnota chrześcijańska to nie ślepy zapal, uczucie przesadne, uniesienie serca tylko, - to postępowanie zawsze kierowane rozumem oświeconym wiarą, tak, że roztropność nazywa się w ustach Ojców Kościoła woźnicą wszystkich cnót, a bez niej każda cnota staje się wadą i błędem.

Ks. Teodor Czaputa, Niezlomny rycerz Chrystusowy, 1932.

Początkiem lutego 1620 r. rozeszła się wieść, że wojska polskie wtargnęły przez Śląsk na Morawy, szerząc straszne spustoszenie. Lisowczycy było to wojsko, które żadnego pana nad sobą nie miało, a służyło - jako najemnicy - komu chciało. Nazwę zawdzięczali Aleksandrowi Józefowi Janowiczowi Lisowskiemu, który z Pomorza przybył na Litwę. Żądny przygód, niebezpieczeństw i sławy rycerskiej, utworzył pod swym naczelnictwem zastęp podobnych do siebie żołnierzy, ściągając ochotników ze szlachty kresowej, wygnańców, przestępców i kozaków, ludzi, którzy nie mieli nic do stracenia, a ich jedynym umiłowaniem była żołnierka i krwawe przygody. Powstało w ten sposób wojsko dzielne, bitne, odważne do szaleństwa, ale niebezpieczne we własnej ojczyźnie, stające nieraz do walki przeciw własnemu królowi. Toteż zasłynęli nie tylko z niesłychanej odwagi i męstwa, ale również ze strasznych gwałtów, okrucieństw i bratania się z wrogami ojczyzny.

Lisowczycy ruszyli najpierw pod wodzą Walentego Rogawskiego na Węgry, gdzie zwyciężyli 13 XI 1619 r. pod Homeną buntującego się Rakoczego. Wpadli następnie do Siedmiogrodu i zmusili w ten sposób księcia Siedmiogrodu Bethlena Gabora do ustąpienia spod Wiednia. Za sprawą umowy z wysłannikiem cesarza Anthalem, początkiem lutego 1620 r. w liczbie około 4 tysięcy przybyli do Moraw. W drodze postępowali po swojemu, żywiąc się z rabunku, niszcząc życie i mienie zniechęconych heretyków.

Okrutniej niż gdzie indziej pohulali sobie w Bystrzycy, skoro dowiedzieli się, że to majątek wroga katolików, Bitowskiego, a tamtejszego pastora braci morawskich zamordowali. 5 II 1620 r., kiedy ta wiadomość dotarła do pobliskiego Holeszowa, ks. Jan Sarkander zgromadził parafian w swoim kościele i po chrześcijańsku przygotował ich na wszystko, co ich może spotkać. Powiedział im, że chce wyjść im naprzeciw z Najśw. Sakramentem. Wierni spędzili

popołudnie w kościele i zgromadzili się tam także od rana następnego dnia. Kiedy okazało się, że wojsko nadchodzi, ks. Jan kazał uderzyć w dzwony, sam wziął w ręce monstrancję i wyszedł na czele procesji na wzgórze, skąd widać już było nadciągające wojsko. Lisowczycy zdumieli się, widząc w kraju protestanckim procesję z Najśw. Sakramentem i wystali postów z zapytaniem, co to znaczy. Gdy dowiedzieli się jaki jest cel tej procesji, zbliżyli się, posiadali z koni, padli na kolana, oddali cześć Hostii św. Ks. Jan zanucił słowa hymnu: Ciebie Boże chwalimy, na co wojsko polskie chórem odpowiedziało tymi samymi słowami, potem – po otrzymaniu błogosławieństwa – powiadali na konie i ruszyli dalej. Zostawili na miejscu straż, by zabezpieczyć miasto przed dalszymi oddziałami wojska. W swoim pochodzie do Wiednia oszczędzali wszędzie miejscowości katolickie, a szli tak szybko, że 8 II stanęli już pod Wiedniem.

Ta procesja – czyn podyktowany roztropnością i gorliwością kapłańską Jana, czyn, który dla Holeszowa całego był ratunkiem w ocaleniu, stał się tą ostatnią kroplą, która dopełniła miary nienawiści jego wrogów. Protestancki magistrat Holeszowa, jak i wszyscy okoliczni właściciele dóbr, którzy doznali szkód od przechodzących wojsk, krzyczyli coraz głośniejsze, że Jan Sarkander był w porozumieniu z wojskiem polskim, że niedawno właśnie z Polski wrócił, dokąd jeździł z koniuszym Lobkowica, by ściągnąć wojska nieprzyjacielskie na zgubę i zniszczenie kraju. Wszystkie te kłamstwa przedłożył Bitowski samozwańcemu królowi Fryderykowi V, który właśnie przebywał w Brnie i otrzymał od niego rozkaz uwięzienia Jana celem przeprowadzenia śledztwa i należytego ukarania. Wkrótce rozesłano list gończy, w którym Jana obwołano wrogiem i zdrajcą ojczyzny. Wszystkim katolikom, mieszkającym w Holeszowie i okolicy, nakazano surowo wydać Jana w ręce władzy, a w razie nieposłuszeństwa będą oskarżeni o zbrodnię zdrady kraju i postawieni przed sąd śledczy.

Dowiedziawszy się o wydanym na siebie wyroku, a nie chcąc parafian narażać na niebezpieczeństwo, opuścił Jan okolicę Holeszowa i schronił się na zamku w Towaczowie, własność hrabiów Weiharda i Karola Salmów, z których pierwszy był szwagrem barona Lobkowica. Tu czując się bezpieczniejszym przed napaściami wrogów, pragnął oczyścić się z rzucanych na niego oszczerstw. Po trzech czy czterech dniach odszedł do Ołomuńca, jednak w lesie Grygowskim wpadł w ręce nastawionych na niego siepaczy, którzy go zwięzali i zawiedli do Ołomuńca. Miejsce pojmania oznaczone było obrazem zawieszonym na dębie z napisem łacińskim: Tu miejsce pojmania Czcigodnego Ojca Sarkandra. Obecnie w tym miejscu stoi statua z figurą przedstawiającą Jana Sarkandra.

Wiedziony przez ulice Ołomuńca, wśród zgrai ulicznej, obrzucany najgorszymi wyzwiskami, doznawał podobnych cierpień jak Jezus prowadzony na sąd w Jerozolimie. Zaprowadzono go najpierw przed dom samozwańczego namiestnika Moraw Władysława Żerocina, pana na Brzeclawiu, który właśnie siedział przy biesiadnym stole. Wśród jego gości był także Bitowski. Wyglądający oknem, zapytał Jana, jak się powodzi panu Lobkowicowi i czy wnet pójdzie za jego przykładem. Lobkowic siedział wówczas w więzieniu. Bitowski rozkazał zaprowadzić go do „gospody, odpowiedniej dla takich złoczyńców”. Skuto go w kajdany i wtrącono do więziennego lochu.

13 II 1620 r. w gmachu więziennym zjawił się samozwańczy namiestnik Moraw Żerocin, gdzie miało się odbyć przesłuchanie Jana. W jego otoczeniu znajdowali się panowie Hartmann z Buchheim, Wacław Bitowski, Benedykt Prażma z Bilkowa, Ścibor Żernowski z Żernowa, Jan

Skrbenski z Fulneku i trzech rajców z Ołomuńca: Tomasz Markwart, Albrecht Mutal i Jerzy Richter. By nadać temu bezprawnemu sądowi znaczenia, przymuszono sędziego miejskiego Jana Scintillę do udziału w całym procesie. Jemu to zawdzięczamy dokładny opis sądu, męczeństwa i śmierci Jana, zamieszczony w sprawozdaniu własnoręcznie sporządzonym dla kardynała Dietrichsteina.

Po wprowadzeniu Jana, skutego kajdanami na salę sądową, odezwał się do niego w języku morawskim Żerocin: - Ty popie, łotrze i zdrajco ojczyzny, wiedz, że tu miejsca na żart nie ma, dlatego powiedz zaraz i po dobroci: Jakim sposobem Polaków i kozaków powołano i wprowadzono na Morawy? Na to Jan odpowiedział: - Przezacni panowie, o rzeczach, o które mnie pytacie, żadnych nie mam wiadomości. Ta prosta i szczerza odpowiedź rozdrażniła sędziów tak, że obsypywali Jana obelgami i pogroźkami, a Żerocin jeszcze raz, zarzucając mu kłamstwo, wezwał go, by w obecności tak dostojnych panów, którzy wszyscy dobrze o jego sprawkach wiedzą, dobrze się namyślił, zanim znów skłamię i jawnie wszystko wyznał. On znów potwierdził, że o czynionych mu zarzutach nic nie wie. Odpowiedź ta wywołała nowy wybuch złości sędziów, nowy grad wyzwisk i obelg. Zarzucali mu zdradę, bo wszyscy wiedzą, że jako spowiednik Lobkowica był powiernikiem jego zamysłów i przedsięwzięć. Że na spowiedzi musiał mu Lobkowic tę zbrodnię wyznać, że stał się powodem tylu łez i krwi przelanej, tylu łupiestw i rabunków przez sprowadzenie do kraju wojska polskiego. Że mu teraz już niczyja opieka i protekcja nie pomoże, tu już nikt na jego ogolony łeb (tonzurę kapłańską) zważać nie będzie, bo ten, który mu tę tonzurę zrobił (biskup ołomuniecki), żadnej już władzy nie posiada, bo oni teraz są panami kraju.

Jan zapewnił sędziów, że o napadzie wojsk polskich nic nie wiedział i dodał: „Byłem wprawdzie w Polsce, ale jedynie w tym celu, aby wykonać ślub dawno uczyniony dla odbycia pielgrzymki do cudownego obrazu Matki Boskiej w Częstochowie. Skoro po wypełnieniu ślubu wracałem przez Rybnik w Księstwie Raciborskim, dowiedziałem się tam, że w Holeszowie nie jestem dość bezpieczny, że moja plebania zajęta jest przez pastora niekatolickiego. Wróciłem tedy do Krakowa, w nadziei, że znajdę tam schronienie, póki na Morawach pokój nie zawita, - a ja bezpiecznie będę mógł wrócić do parafii. Niestety nadzieja mnie zawiodła i znów udałem się do Rybnika, gdzie jakiś czas oddawałem się zajęciom duszpasterskim, czekając na stosowną porę powrotu, a gdy – jak sądziłem – nadeszła, bezzwłocznie udałem się do Holeszowa.

Bitowski wybuchnął: Czemuż więc, powiedz, wczas rano, jak łotr i zdrajca, chyłkiem z Holeszowa uciekłeś? Nie uciekłem – odpowiedział Jan – tylko rano obyczajem kościelnym wybrałem się na pielgrzymkę. Obrałem też wczesną porę, by uniknąć skwaru południa... Zresztą, gdybym się poczuwał do jakiejś zdrady ojczyzny i obawiał się więzienia, nie byłbym wracał do Moraw, tym mniej do Holeszowa.

Bitowski zaczął zarzucać Janowi, że swym postępowaniem stał się przyczyną gorszących sporów między panami a poddanymi i nieustannych walk religijnych, więc słusznie zasługuje na karę należną podobnym burzycielom i wichrzycielom.

Jan odpowiedział na te zarzuty stanowczo, że w naukach i kazaniach nie miał innego celu jak głoszenie prawdziwej wiary i chrześcijańskiej cnoty; jeżeli kiedykolwiek dochodziło między katolikami i błędnowiercami do sporów religijnych, to powodem do tego nie było nigdy jakieś

złośliwe podburzanie z jego strony. Owszem, nieraz upominał wiernych, by unikali sprzeczek religijnych, do których nie dość są przygotowani, a zalecał modlitwę za błądzącymi o ich nawrócenie. Co się tyczy zatargów o wypłatę dziesięcin, to uważał sobie za święty obowiązek dóbr kościelnych, powstałych przez ofiarność wiernych dla zadośćuczynienia za grzechy, dla ozdoby domu Bożego i służby bożej, dla utrzymania sług Kościoła – bronić przed wszelkim bezprawiem a czynił to nie tylko, by swoje sumienie czystym zachować, lecz także dla ratowania dusz krzywdzicieli Kościoła przed zbrodnią i pomstą Bożą. Skoro jednak wszelkie łagodne prośby i napomnienia nie odnosiły pożądanego skutku, czuł się zobowiązanym donieść o tym prawowitej władzy i w tym jeszcze zachowywał zawsze należyte umiarkowanie.

Wyczerpująca ta i jasna odpowiedź Sarkandra nie zadowoliła jego sędziów. Wśród przekleństw i obelg oburzali się na Jana, że wobec prawowitej władzy śmie się jeszcze odwoływać do jakiejś innej władzy, aż wreszcie samowładny Żerocin zakończył to pierwsze przesłuchanie słowami: Słuchaj popie! Skoro po dobroci nie chcesz się do prawdy przyznać, to może Wielebności Twojej katownia pomoże? Czy sądzisz, że i twego pana (Lobkowica) nie możemy wziąć na tortury? Wiedz, że i ty nie ujdiesz męczarni, jeśli obaczymy, że nas chcesz wykrętami oszukać. Więc namyśl się, - dajemy ci na to czas aż do jutra.

Z pogrózkami na ustach opuścili sędziowie salę. Jan radował się w duchu, że może cierpieć dla Imienia Jezusowego, a wróciwszy do celi więziennej, na kolanach z rękami wzniesionymi, modlił się jak niegdyś Chrystus w Ogrójcu.

Drugie śledztwo i pierwsze użycie tortur

14 lutego, wieczorem o 6. godzinie zebrali się wrogowie Jana dla przeprowadzenia nowego śledztwa. Wezwany ku temu sędzia miejski Scyntylla, pod groźbą nielaski stanów i kary uległ i przybył do więzienia. Tym razem, wobec nieobecności Żerocina, przewodnictwem śledztwa objął Bitowski. Do poprzednich sędziów dołączyli się Wilhelm Ullersdorfer, rządca Bitowskiego imieniem Henryk, Prokop Podstacki i kilku innych.

Bitowski rozpoczął od tych samych pytań, tyjących się celu jazdy do Krakowa, na co Jan dawał te same stanowcze odpowiedzi. Wtedy rozwścieczony Bitowski zawołał kata i rozkazał Jana wyciągnąć na tzw. skrzypcu, grożąc jeszcze sroższymi mękami, jeśli te nie wystarczą. Wtedy Jan padł na kolana przed sędziami i tak do nich przemówił: „ Czcigodni panowie, ponieważ widzę, że Wszehmoc Boska dopuszcza, by mnie z waszej ręki dla mojej podróży do Polski taka męka spotkała, tedy dziękuję za to nieskończonej Dobroci Boskiej i błagam Ją z całego serca, by wam za grzech nie poczytała tego, coście ze mną uczynić postanowili, a także, by nam wszystkie nasze winy łaskawie darować raczyła. Przy tym wszystkim oświadczam jednak uroczyście przed Panem nieba i ziemi, że nie tylko o sprawach, o które mnie posądzacie nic nie wiem, ale też w nich żadnego nie brałem udziału. Nie tałbym przed wami, gdybym wiedział cokolwiek, nawet wówczas, gdyby się to tyczyło własnego ojca lub matki mojej. Gdybym mówił inaczej niż dotąd, dopuściłbym się kłamstwa i obciążyłbym me sumienie, naruszyłbym prawdę i traciłbym duszę przed Bogiem. Zaklinam was przeto w imię Boże, abyście mi uwierzyli i zaprzestali tego niesprawiedliwego śledztwa. Uszanujcie godność moją kapłańską, dusz waszych i zacnych imion nie poniewierajcie, bo takim postępowaniem hańbę tylko potomstwu waszemu pozostawicie.

Słowa te wzruszyły niektórych obecnych katolików, nawet na heretyckich sędziach zrobiły wrażenie, lecz nieugięty Bitowski powtórzył swój rozkaz do kata z jeszcze większą zawziętością. Gdy kat zaczął z Jana zdzierać suknię kapłańską, ten upadł ponownie na kolana i tak się modlił: Najlitościwszy Boże, wyznaję szczerze, że za grzechy moje, którymi niezliczone razy Twą dobroć obrażem i gniew Twój na siebie ściągnąłem, zasługuję na najsroższe męki, mimo to proszę Cię Panie i Boże, ponieważ nic nie wiem o tym, o co mnie oskarżają, anim w tym żadnego nie brał udziału, byś mi wszechmocną łaską Swoją dopomógł, wszystkie czekające mnie męki i boleści cierpliwie przenieść. Już naprzód ofiaruję Ci je w łączności z tą męką, którą niegdyś Syn Twój najmilszy Jezus Chrystus na krzyżu poniósł! Kieruj Ty moim sercem, moim językiem, każdym zmysłem i każdym słowem moim i prowadź mnie łaską swą po ciężkiej drodze boleści, abym siłą mąk pokonany, ani myślą ani słowem prawdy świętej a Tobie drogiej nie odstąpił. Gdyby mi się jednak jakie słowo wymknęło przeciw woli mojej, niezgodne z dotychczasowymi zeznaniami moimi, a obrażające Najwyższego i świętą prawdę – to je teraz, będąc jeszcze przy zdrowych zmysłach, najuroczyściej wobec Ciebie, Boże mój odwołuję, was, którzy tu jesteście obecni i cały świat wzywam na świadectwo, że ja już teraz i na zawsze uznaję jako nie wyrzeczone, lecz tylko boleścią wymuszone! Ty zaś, najłaskawszy Panie i Boże, przyjm litościwie to moje oświadczenie i uznaj je za święte i niewzruszone, przez zasługi Twego najmilszego Syna, Najświętszej Maryi Panny i wszystkich Świętych. Amen.

Po odmówieniu tych słów modlitwy Jan powstał, sam zdjął ze siebie szatę kapłańską i podszedł do katowni, zwanej skrzypcem. Był to ogromny drewniany kocioł. W środku górnej belki poprzecznej znajdował się krążek, przez który przechodziła lina. Do jednego jej końca przywiązywano ręce skazańca, wyciągnięte ponad głowę, podczas gdy stopy jego przymocowane były do żelaznych haków, tkwiących w kamiennej posadzce. Drugi koniec liny, prowadzącej od związanych rąk, nawinięty był na wielkie koło, które kręczone korbą, związało linę i rozciągało dowolnie rozpięte ciało skazańca.

Gdy kat zaczął skręcać koło, ciało Jana wyprężyło się tak, że członki z trzaskiem powychodziły ze stawów. Tylko cichy jęk i słowa modlitwy wydobyły się z ust męczonogo. Krzyki i złorzeczenia sędziów głużyły szept modlitwy. Bitowski raz po raz powtarzał pytania: po co Jan chodził do Polski, co tam robił, jakie mu tam sprawy do załatwienia powierzono – ale nie otrzymał z ust męczonogo kapłana innej odpowiedzi prócz powtarzanych słów psalmów i westchnienia: Jezus, Marya i Anna.

Zniecierpliwiony Benedykt Prażma krzyknął: Ty buntowniku, zdrajco ojczyzny, jeszcze śmiesz się zapierać i chcesz być bardziej męczony? Hartman Buchheim wołał na oprawcę: - Mocniej naciągnij łotra, aby wszyscy zdrajcy, którzy się w nim kryją, z niego wylecieli. Bitowski, przerywając mowę tamtemu, odzywa się: Idźmy do rzeczy! Gdzieś zostawił koniuszego Lobkowica? Co ten niegodziwiec w Polsce robił? Czy to prawda, że ci się z niczym nie zwierzył? Na te pytania odpowiedział Sarkander: Dokąd koniuszy Lobkowica dalej się udał i w jakiej sprawie czy poselstwie, nie wiem, gdyż mi niczego nie powierzył ani powierzyć nie mógł, gdyż ja nie rozumiem języka niemieckiego ani włoskiego, którymi on mówi, on zaś nie zna języka morawskiego ani łańskieckiego, którymi ja mówię, tak że o rzeczach ważnych i doniosłych nie mogliśmy ze sobą rozmawiać.

Nowy wybuch złości i przekleństw towarzyszył tej odpowiedzi Jana. Jednomyślnie nawoływano kata, by mękę podwoił, aż stałość Jana, głośnie objawy współczucia i oburzenia wśród obecnych zmusiły sędziów, że po całą godzinę trwającej męczarni dali znać katowi, by

mąk zaprzestał i więźnia do celi odprowadził. Przed opuszczeniem sali grozili Janowi jeszcze sroższą męką, że ognia i krwi nie pożałują jeśli się nie namyśli i swego oporu nie zaniecha.

Ale Jan odrzekł: Cokolwiek Bóg najlepszy na me grzeszne ciało dopuścił i jeszcze dopuści, za to wszystko chwałę i błogosławię święte imię Jego. Jemu nie tajno, że nic o tym nie wiem, o co mnie podejrzewacie i wypytujecie. Ufam także najmocniej, że tenże najmiłosierniejszy Bóg tak język mój i nadal strzec i nim kierować będzie, abym w niczym przeciw prawdzie i Jego najświętszym przykazaniom nie wykroczył. Zresztą uznaję, że z Boskiego dopuszczenia w waszej mocy jestem tak długo, jak się Bogu podoba. Niechże się ze mną dzieje według najświętszej woli Jego, której się zupełnie poruczyłem i jeszcze teraz się oddaję. Za was zaś, szanowni panowie, będę się jak najgoręcej modlił, by wam Bóg najmiłosiwszy tego za grzech nie poczytał, co ze mną robicie, ale by was strzegł od wszystkiego złego i Swej łaski i błogosławieństwa wam udzielił. Szydząc z tych wzniosłych słów Jana, opuścili sędziowie więzienie.

Trzecie śledztwo. – Jan męczony po raz drugi.

Nazajutrz 14. lutego zeszli się komisarze, by prowadzić dalsze śledztwo. Daremnie jednak czekali na sędziego Scyntyllę, który mimo kilkakrotnego wezwania odmówił stanowczo wzięcia udziału, wymawiając się ważnymi zajęciami, których odłożyć nie może. Zniechęceni komisarze przeklinali Jana i Scyntyllę, a w obawie, by się Jan z rąk ich i przygotowanej tortury nie wymknął, przykazali dozorczy więzienia pilnie czuwać, aby katolicy nie podali Janowi w potrawach trucizny lub nie użyli jakich czarów, by go przed cierpieniem zabezpieczyć. Potem więzienie opuścili.

Tymczasem nowe posiłki polskie wtargnęły na Morawy, a właśnie zimowy król protestancki Fryderyk V odebrawszy hołd od stanów morawskich, wybierał się do Wrocławia, by i Śląsk objąć w posiadanie. Stany protestanckie były zmuszone gromadzić wojsko do obrony Moraw przeciw Lisowczykom i dla zabezpieczenia króla w drodze na Śląsk. Na czele wojska protestanckiego zebranego w Ołomuńcu i okolicy stanął Bitowski. Nie mógł więc osobiście przewodzić sądom nad Janem. Jego miejsce objął Ścibor Żernowski z Żernowa.

17. lutego przybył w towarzystwie dawniejszych komisarzy Prażmy, Ullersdorfera i Piotra Koprzyckiego do więzienia i kazał przywieźć przed siebie Jana. Powiedział mu, że jego zdrada i Lobkowica to już rzecz powszechnie znana, daremnie więc wymawia się z tego przed stanami kraju. Męki, których już skosztował, należą mu się więc słusznie jako zbrodniarzowi. Od dalszych i sroższych może się uwolnić jedynie otwartym przyznaniem się do wszystkiego. Wtedy może liczyć na wzgląd i łagodniejszą karę. W razie uporu czekają go kary i męki najstraszniejsze. Niech więc bez ogródek wyzna, jakie to układy przeprowadzał w Polsce z ramienia Lobkowica w sprawie posiłków wojskowych.

W odpowiedzi Jan powtórzył jeszcze raz, że podróż do Polski odbył jedynie w celu odprawienia ślubowanej pielgrzymki do Częstochowy, drugi raz natomiast udawał się do Krakowa, skoro w Rybniku dowiedział się o zajęciu swego kościoła przez innowierców, nigdy zaś z jakiegoś tajnego, państwu zagrażającego polecenia namiestnika Lobkowica.

Nigdy z tym panem – mówił Jan – nie rozprawiałem o niczym innym, jak o sprawach dotyczących się jego sumienia. Przekonany jestem, że i on nie zamierzał dawać mi podobnych zleceń, ani

bym też sam tego rodzaju spraw bez zezwolenia mojej władzy na siebie nie przyjmował. Dobrze, szanowni panowie wiecie, że w kraju nie brak ludzi śmiałych i doświadczonych w politycznych przedsięwzięciach, więc też i Lobkowicz nie miał potrzeby w wykonaniu podobnych planów posługiwać się ubogim, nic nie znaczącym kapłanem, który się na polityce, obyczajach dworskich i wojskowości całkiem nie rozumie. Stąd sami panowie możecie wywnioskować, jakim oszczerstwem są te wszystkie zarzucane mi zbrodnie.

Na nic jednak nie zdała się ta obrona Jana wobec sędziów, którymi nie kierowała miłość prawdy i sprawiedliwości, tylko nienawiść i chęć zemsty na katolickim księdzu, którego cała dotychczasowa działalność duszpasterska była zawadą dla szerzącego się luteranizmu. W odpowiedzi na słowa Jana wydał Żernowski rozkaz oprawcom rozciągnąć Jana na skrzypcu. W czasie tej okrutnej męczarni powstał nowo przybyły szlachcic, Piotr Koprzycki, z nowymi przeciw Janowi zarzutami. Zarzucał mu m.in., że w swej parafii niekatolików zmusza gwałtem do spowiedzi na wzór papieżników i do przyjmowania komunii pod jedną postacią; że służy duchowni Braci Czeskich za jego sprawą musieli opuścić kościół św. Anny w Holeszowie i swą szkołę, a luteranie i Bracia Czescy z całego Holeszowa musieli się wynieść; że on sprowadził Jezuitów i ów kościół im oddał; że był powodem gwałtownego prześladowania albo przymuszania do papieństwa niekatolików w Holeszowie i całej okolicy pod groźbą więzienia, utraty majątku i wygnania.

Jan na to odpowiedział, odpierając wszystkie niesłuszne zarzuty. Nie mogąc temu zaprzeczyć, powtarzali sędziowie uporczywie dawne pytania, odnoszące się do koniuszego Lobkowicza, a Buchheim dorzucił nowe pytanie, kiedy i gdzie tenże z Janem rozstali się i co zrobił ze złotą skrzynią, którą wiozł z sobą.

Jan odpowiedział, że gdy dojechali do drogi, która z gościńca królewskiego zbacza do Częstochowy, pożegnał się z koniuszym, dziękując za oddaną przysługę, ale nie wie, gdzie ten dalej jechał ani co wiozł w skrzyni, na której siedzieli.

Gdy dokończył, rozkazał Żernowski katom jeszcze mocniej ciało księdza naciągać i odsłonięte piersi z obu stron płonącymi pochodniami przypiekać. Na szydercze pytania sędziów nic już Jan nie odpowiadał, tylko cichy szept modlitwy przerywało niekiedy głośniejsze wymawianie imion: Jezus, Marya i Anna! Cała męczarnia trwała około 2 godzin, aż komisarze, zmożeni swędem pochodni i palonego ciała, który ich w oczy gryzł i dech im zapierał, a więcej jeszcze nieugiętym męstwem Jana zwyciężeni, opuścili izbę więzienną, rzucając jeszcze na odchodnym zawieszonemu na skrzypcu Janowi groźbę: Innej jeszcze nauczymy cię modlitwy, jeśli nas za błaznów mieć nie przestaniesz.

Ostatnie śledztwo. – Jan męczony po raz trzeci.

18 lutego zebrało się grono komisarzy dla dalszego śledztwa. Nie było Bitowskiego, był jednak jego marszałek i pełnomocnik, a wśród przedstawicieli stanów protestanckich m.in. Wit Österreicher. Pijani winem i nienawiścią kazali wprowadzić Jana, który po wczorajszej męczarni z największym wysiłkiem trzymał się na nogach.

Ścibor Żernowski rozpoczął śledztwo, powtarzając wszystkie znane już pytania. Gdy Jan krótko stawianym mu zarzutom zaprzeczył, Benesz Prażma obrzuciwszy go obelgami, krzyknął: - Co,

ty nie wiesz, jakie knuły się spiski? Jaką zdradę przygotowywano? Czy ci tego wszystkiego Lobkowic nie wyjawiał na spowiedzi? A zatem wyznaj nam to; wyjaw, bo inaczej ogniem i innymi jeszcze mękami spiski te z ciebie wydobędziemy! Na to Jan odpowiedział: - O żadnych spiskach nie wiedziałem. Co się zaś tyczy tajemnicy spowiedzi, choćby mi w niej co takiego wyjawiono, to o tym już nic nie wiem ani wiedzieć nie chcę, ani śmiem o tym myśleć i pamiętać, a to z powodu najświętszej i nienaruszalnej pieczęci tego Boskiego Sakramentu. Dlatego też chociażbym nawet wiedział, że mnie w kawałki porąbiecie, że mnie żelazem, ogniem i najwymyślniejszymi mękami zabijecie i w popiół obrócicie, wołałbym przecież to wszystko z łaską Bożą znieść, aniżeli na moment przeciwko tej tajemnicy zgrzeszyć.

Wrogowie Jana z każdym śledztwem coraz wyraźniej objawiają swą nienawiść do Kościoła katolickiego, czyli właściwą przyczynę, dla której Jana więżą i męczą. W tym śledztwie ostatnim wyraźnie rzucają się na świętość spowiedzi i stojącego w jej obronie kapłana każą ze zdwojoną wściekłością naciągać na skrzypcu i palić pochodniami, głowę ścisnąć żelazną obręczą. Kat pośpieszył wykonać okrutny rozkaz, a Jan jak dawniej tak i teraz powtarzał wśród cierpień słowa psalmów i wzywał najśodszych imion: Jezus, Maryja, Anna. Gdy przystawione do boków płonące pochodnie od krwi z otwartych ran cieknącej gaśły, szydzili sędziowie z oprawców, że nie dość się znajdują na swoim rzemiośle. Podnieceni tym kaci umaczali pochodnie w smole, siarce i łoju, by się lepiej paliły. Tymczasem ciało męczennika rozciągnięto kołem tak gwałtownie, że kamień, do którego nogi Jana przywiązano, wysunął się nieco z posadzki. Prócz modlitw jednak i cichych westchnień żadne inne wyznanie oczekiwane przez sędziów nie wyszło z jego ust.

Wymyślili więc nową męczarnię. Kazali w mieszaninie z oliwy, łoju, żywicy i smoły umaczać pierze, oblepić nim ciało męczennika i zapalić. Ciało Jana stało się jedną płonąca pochodnią. Głośny płacz kobiet i szmer oburzenia tłumu, przez okna z ulicy przyglądającego się temu straszemu widowisku, dochodził do więzienia i mieszał się z dzikim krzykiem i przekleństwem sędziów, którzy zawiedzeni w swej nadziei, że te nadludzkie cierpienia zmuszą Jana do zeznań, zgodnych z czynionymi mu zarzutami, zaczęli stałość jego przypisywać czarom. Rozkazali więc oprawcom czary wypędzić czarami. W tym celu obcięto Janowi w kształcie krzyża nieco włosów z głowy, brody i innych części ciała, paznokcie z palców – wszystko spalono, a popiół zmieszano z wodą i dano mu wypić. Z uśmiechem na ustach Jan wypił ten wstrętny napój, ciesząc się w duchu, że mu dano i w tym rodzaju męki naśladować Zbawiciela. Oczywiście czary nie zmieniły stałości męczennika. Bezradni sędziowie opuścili po trzech godzinach tortur więzienie, przesycone swądem spalonego łoju, siarki i ciała ludzkiego, ale nie chcąc dać za wygraną, grozili jeszcze na odchodnym już prawie konającemu nowymi mękami.

Jan, odwiązany z rusztowania, padł bezwładnie pod ścianą na prawy bok. Oprawcy sądzili, że już skonał i zostawili go tam jakiś czas. Gdy jednak Jan dawał znaki życia, wynieśli go do celi więziennej. W drodze odzywali się jeszcze z pogroźkami nowych tortur, na co Jan odrzekł: - Nie spodziewam się już niczego, jak prędkiej śmierci, gdyż moje ciało całe zranione i wyniszczone, nie będzie już miało sił do zniesienia jakiegokolwiek męczarni. W celi położyli go oprawcy na słomie i nakryli suknią kapłańską.

Kiedy, według podania, usychający z pragnienia daremnie prosił o trochę wody, - pod jego ustami miało wytrysnąć źródło. W każdym razie źródło to istnieje do dnia dzisiejszego w

miejscu dawnego więzienia, a wiarygodni świadkowie stwierdzali, że grunt tego miejsca tworzyła sucha, twarda skała, w której poprzednio śladu źródła nie było. (Liverani Tissac, s. 75).

Dalsze cierpienia i śmierć Jana.

W więzieniu pojawili się życzliwi i miłosierni ludzie, by cierpiącemu sprawić ulgę. Byli nawet litością zdjęci innowiercy. Jan, doszedłszy nieco do siebie, prosił jedynie o trochę wody, a potem modlił się w skupieniu.

Następnego dnia znów przyszli do więzienia sędziowie, by zastosować jeszcze jeden rodzaj tortur. Chcieli mu włożyć na głowę wieniec nasączony smołą i zapalić. Tym razem sprzeciwili się temu stanowczo - sędzia miejski Scyntylla, notariusz Paweł Słacki i radny miejski Rudolf Mandel, powołując się na stan Jana, który już był bliski śmierci i tortury nie wytrzyma, jak też na to, że ten rodzaj męki sprzeciwia się wszelkim prawom i poczuciu humanizmu. Stanowczy opór wykazali także kaci, którzy już do takiej niegodziwości rąk przyłożyć nie chcieli. Dlatego – chociaż niechętnie – musieli komisarze od dalszego śledztwa i tortur odstąpić.

O wyleczeniu ran na całym ciele Jana nie było mowy. Niektórzy katolicy wnieśli prośbę, by można go było pielęgnować w prywatnym mieszkaniu, ale im odmówiono. Jan pozostał w więzieniu, a pielęgnowaniem jego ran zajęli się z polecenia władzy dozorca więzienny i kat. Dozorca, zagorzały heretyk, podzielał nienawiść swych samozwańczych przełożonych do Jana jako księdza katolickiego. Na leczeniu się nie znał, toteż to co robił dla męczennika było raczej pastwieniem się nad nim, niż pielęgnowaniem. Grube szmaty lub papier, umaczany w oliwie, przykładał zamiast plastrów do ran, a gdy przyschły, zrywał je nielitościwie, przymnażając cierpień. Przy zmianie opatrunków zatykał sobie nos i przeklinał z powodu niemiłej woni, wydobywającej się z gnijących ran. Gdy było trzeba zmienić położenie chorego, robił to nieraz nogami. Odwiedziny dopuszczał tylko za opłatą i unosił się gniewem, gdy kto z odwiedzających zajął się opatrywaniem ran męczennika. Potrawy i bieliznę przynoszone dla Jana zatrzymywał nieraz dla siebie. Mimo to nie brakowało chętnych, którzy nie zważając na te wszystkie trudności, odwiedzali Jana i służyli mu pomocą. Według sprawozdania sędziego Scyntylli były to dwie wdowy – Katarzyna po doktorze Jerzym Hönigu i Barbara Juryt, Julianna Brandelsowa, Piotr Paweł Szlachecki, pisarz sądowy, a między współwięźniami Jerzy Meczal, rzeźnik i dwoje małżonków z posiadłości p. Sudliczki, którym Jan, umierając, przekazał swoją odzież. Szczególniejszą miłością do Jana odznaczył się jednak notariusz sądowy, Jan Rudolf Mandel, który nieraz dzień i noc trwał przy chorym, zmieniał opatrunki, podawał pokarmy, dźwigał na ramionach, by go obrócić lub wygodniej położyć, oddawał najniższe nawet usługi, nie zrażając się zapachem zgnilizny, który coraz bardziej z obumierających członków się wydobywał. Jan przyjmował niewiele pokarmu, a za ten, który mu podawano, dziękował pokornie i prosił Boga, by darczyńców wynagrodził. Mimo wielkich cierpień nie skarżył się ani niecierpliwiał przedłużającą się męką. W modlitwie znajdował pociechę. Ponieważ nie mógł odmawiać brewiarza, leżąc na plecach, podtrzymywali go przyjaciele, pomagając do zajęcia postawy siedzącej, a do posłania przysuwano klęcznik, na którym leżał otwarty brewiarz. W odwracaniu kartek pomagał mu Mandel i jego córeczka, która później, jako wdowa w podeszłym wieku opowiadała to wszystko pierwszemu biografowi Sarkandra, ks. Szwarcowi. A gdy jej i ojca nie

było, Jan nie mogąc poruszać wyrwanymi ze stawów rękami, odwracał sobie kartki brewiarza językiem.

W więzieniu było wówczas także trzech Ojców Kartuzów z klasztoru w Łukowie koło Holeszowa, którzy czasem razem z nim odmawiali brewiarz. Widząc jego wyczerpanie, prosili go, by oszczędził sobie tego trudu, ale Jan odpowiadał im: - O najmilsi Ojcowie, chwalcie ze mną Pana i wysławiajcie imię Jego bez ustanku. Kiedy litowano się nad nim, odpowiadał: - We wszystkich, nawet największych mękach, doznaję największych pociech – i nie dbam o żadne boleści.

Tymczasem jego stan pogarszał się z każdym dniem. Wnętrznosci miejscami odstonięte i popalone, gnity, a ciało, rozkładające się, odpadało kawałkami. Całe cztery tygodnie jednak trwało to powolne konanie. Gdy Jan czuł zbliżającą się ostatnią godzinę, prosił o kapłana katolickiego, by z jego rąk otrzymać ostatnie namaszczenie. Udzielił mu go proboszcz z Wielkiego Tyńca, ks. Wincenty Szypek w obecności Kartuzów i ks. Jakuba, proboszcza z Charwat. W ich obecności zmarł dnia 17 III 1620 r. między godziną 10 a 11 w nocy. Wypowiedział jeszcze dosłyszalnym głosem słowa psalmu: „Wróć się duszo moja do spokoju swego, bo dobrym dla ciebie okazał się Pan. Bo wyrwał duszę moją od śmierci, oczy moje od płaczu, nogi moje od upadku. Pragnę podobać się Panu w krainie żyjących.” (Ps. 114, 7,8,9). A po tych słowach oddał duszę swą Bogu, przeżywszy na ziemi 43 lat i 3 miesiące.

Pogrzeb i uczczenie grobu męczennika.

Sędzia Scyntylla, który ciało Jana obmywał i ubierał do pogrzebu, jak i wielu wiarygodnych świadków, zeznali, że twarz zmarłego, przed śmiercią okropnie blada i wyniszczona, po śmierci nabrała dziwnie żywych kolorów i rumieńców, a całe ciało, które za życia budziło tak wielką odrazę, że mało kto chciał się do niego zbliżyć, teraz wydawało przepiękną woń.

Stwierdził to sam Scyntylla w sprawozdaniu złożonym kardynałowi Dietrichsteinowi i wielu katolików wobec autora pierwszej biografii ks. Jana, ks. Eustachego Szwarca, gdy ten przebywał jeszcze w Ołomuńcu.

Drugiego dnia po śmierci Jana udał się Jan Scyntylla na czele kilku katolików do samozwańczych komisarzy, aby pozwolili wynieść zwłoki z więzienia i zająć się pogrzebem. Nie bez trudności pozwolenie to w końcu uzyskali. Przeniesiono ciało do domu pobożnej wdowy Świetlikowej, ubrano w czerwony ornat, do rąk włożono woskowy kielich z pateną. Przy trumnie śpiewano psalmy i gotowano się do uroczystego pogrzebu na dzień 19. marca. Gdy w tym dniu orszak pogrzebowy miał już wyruszyć z domu w stronę kościoła parafialnego Najśw. Maryi Panny, gdzie w kaplicy św. Wawrzyńca miano zwłoki pochować, nadjechał Hartmann Buchheim, a zobaczywszy liczne zebranie i słysząc śpiewy, zapytał co to znaczy. Kiedy dowiedział się o przyczynie, rozgniewał się strasznie i nakazał natychmiast się rozejść i wszelkiego uroczystego pogrzebu zaniechać. Ciało Jana kazał tymczasem pozostawić na dawnym miejscu, aż władza rozrządzi, jaki pogrzeb należy się człowiekowi, który był zbrodniarzem i zdrajcą, a zatem najodpowiedniej pod szubienicą powinien być pogrzebany. Ludzie musieli się rozejść, a sędzia Scyntylla został nawet przed stanami w Brnie oskarżony o nadużycie swej władzy i swego wpływu. Ciało pozostawiono w domu Świetlikowej.

Dopiero po upływie 7 dni nadeszła z Brna od Władysława Żerocina przychylna odpowiedź, zezwalająca na złożenie zwłok w kościele, lecz cicho i bez jakiegokolwiek uroczystości. Zgromadzili się więc katolicy 24 III 1620 r. o godzinie 6 rano i stosownie do rozkazu w zupełnej cichości zanieśli szczątki do kaplicy św. Wawrzyńca, gdzie je po odprawieniu ceremonii kościelnych z wielką czcią pochowano.

W 1784 r. za rządów Józefa II zamknięto kościół NMP i przekazano na cele świeckie. Wtedy dnia 24 XII 1785 r. przeniesiono zwłoki Czcigodnego Męczennika do kościoła św. Michała Archanioła i umieszczono na chórze poza zakrystią, gdzie pozostawały aż do czasu beatyfikacji w 1860 r. 22 IX 1860 r. wprowadzono je uroczyście do katedry św. Wacława.

Już w dwa lata po złożeniu zwłok Jana Sarkandra w kaplicy św. Wawrzyńca przy kościele NMP Śnieżnej brat Mikołaj, wówczas kanonik katedry ołomunieckiej, wystawił mu marmurowy nagrobek, ozdobiony godłami męczeńskimi i zaopatrzony napisem łacińskim tej treści: Czcigodnemu Janowi Sarkandrowi ze Skoczowa, kościoła parafialnego w Holeszowie najtroskliwszemu proboszczowi, który życie swoje pasterską pieczołowitością przepełnione, śmiercią chwalebną w mękach najsroższych dla sprawiedliwości niewinnie poniesionych, szczęśliwie zakończył w Ołomuńcu dnia 17 marca roku zbawienia 1620. Umieścił też w ścianie tej kaplicy kamień, znajdujący się dziś w ścianie kaplicy św. Jana w podziemiu, na którym w jęz. łacińskim wyryty jest krótki opis śmierci Jana i jej przyczyn. Wokół tablicy biegnie napis: Czcigodnemu Janowi Sarkandrowi ze Skoczowa, magistrowi filozofii, proboszczowi Holeszowskiemu, chwalebnemu Chrystusa męczennikowi, bratu swojemu najmilszemu. Módl się za braci i całe pokrewieństwo, błogosławiony męczenniku!

Napis ten jest wymownym dowodem, jak głębokie i powszechne było przekonanie o świętości i prawdziwym męczeństwie Jana, skoro tuż po jego śmierci, bo zaledwie 2 lata, władza kościelna zezwoliła na umieszczenie takiego napisu w kaplicy, zanim Kościół wydał urzędowe uznanie jego świętości. Zapewne nie miano najmniejszej wątpliwości, że prędzej czy później wyrok ten przyzna Janowi tytuł męczennika błogosławionego i świętego.

LOSY PRZEŚLADOWCÓW JANA

Nieprawnie obrany czeskim królem Fryderyk V zawiódł pokładane w nim nadzieje czeskich protestantów. Opuszczony przez niemieckich książąt protestanckich, nie umiał utworzyć i przygotować wojska na swoją obronę, a swoją kalwińską gorliwością zniechęcał do siebie nowych poddanych. Tymczasem cesarz Ferdynand zyskał pomoc papieża, Hiszpanii i katolickich książąt niemieckich i w bitwie na Białej Górze koło Pragi dnia 8 XI 1620 r. zniszczył zupełnie czeską armię. Fryderyk V, zwany dla krótkości panowania „królem zimowym”, musiał uchodzić z kraju, zaś całe Czechy zdane były na łaskę i niełaskę cesarza.

Bitwa na Białej Górze była grobem reformacji w Czechach oraz zniszczeniem kraju i narodu czeskiego, który na prawie 300 lat (do 1918 r.) utracił suwerenność. Surowe rządy cesarskie karały bezwzględnie wszystkich podejrzanych o sprzyjanie rewolucji śmiercią albo odebraniem szlachectwa, majątku i nakładaniem kar pieniężnych. Kościół katolicki odzyskał utracone majątkowi i prawa.

Uwięziony od maja 1619 r. kardynał Dietrichstein, wielkorządca Moraw, wrócił na swe stanowisko i z cesarskiego rozkazu wezwał przed swój sąd samozwańczych sędziów Jana Sarkandra. Po przeprowadzeniu śledztwa pozbawiono ich wyrokiem sądowym szlachectwa i majątku, a ich imiona i podobizny przybito dla publicznej hańby na szubienicy.

Najzacieklejszy wróg Jana, Wacław Bitowski, właściciel Bystrzycy, który to zatargiem o kościelne dziesięciny rozpoczął całą walkę przeciwko holeszowskiemu proboszczowi, nie czekał na śledztwo, ale już wcześniej uciekł z kraju i zaciągnął się do wojska szwedzkiego króla Gustawa Adolfa, który prowadził wojnę z cesarzem. Wzięty przez wojska cesarskie do niewoli i zaprowadzony przed sąd w Brnie morawskim, skazany został na śmierć. Męczony najpierw na torturach, podobnie jak Jan Sarkander z jego rozkazu, został następnie ścięty, a jego głowę jako buntownika wbito na pal i wystawiono na widok publiczny jako groźbę i przestrożę dla buntowników. Jego żona, Bolumka z Wyczkowskich, żyła jeszcze przez kilka lat w nędzy w okolicy Holeszowa, utrzymywana z jałmużny swych dawnych poddanych, litościwych mieszkańców wsi Roszczyn, gdzie potem zmarła.

Hartman Buchheim, ten, który jeszcze po śmierci Jana chciał przeszkodzić jego pogrzebowi, mówiąc, że dla takich, jak Jan Sarkander, jedynie pod szubienicą jest odpowiednie miejsce spoczynku – również, jeszcze przed sądem, jak tylko dowiedział się o klęsce pod Białą Górą, uciekł w nocy z Ołomuńca i wszelki ślad po nim zaginął. Jego dobra przeszły na własność państwa, a imię i podobiznę przybito do szubienicy. Jego żona, która za czasów panowania rebeliantów protestanckich jadła i piła z paten i kielichów mszalnych, zrabowanych przez męża z ołomunieckiej katedry, po jego ucieczce popadła w obłąkanie i jako żebraczka umarła w Sternbergu.

Wszystkie te straszne szczegóły zapisał najstarszy pisarz życiorysu Jana Sarkandra, Eustachy Schwarz w swym dziele: „Rubinus Moraviae” (Klejnot Moraw), wydanym w 1687 r.



Zamek w Towaczuwie, gdzie w lutym 1619 r. ukrywał się Jan Sarkander



Troubki – miejsce pojmania Jana Sarkandra



Skrzypiec – narzędzie tortur w piwnicy Kaplicy Sarkandrowskiej



Relief w Kaplicy Sarkandrowskiej, ufundowany przez braci Męczennika

